



STEPHEN
KING

OCZY SMOKA

1

Dawno, dawno temu, w kraju zwanym Delain, żył sobie król, który miał dwóch synów. Delain było bardzo starym królestwem i miało już setki władców, a może i całe tysiące; jeśli coś trwa dostatecznie długo, nawet historycy nie potrafią spamiętać wszystkiego. Roland Dobry nie był ani najlepszym, ani najgorszym władcą, jaki rządził tym krajem. Bardzo starał się nie wyrządzić nikomu krzywdy — i w zasadzie to mu się udawało. Pragnął też dokonywać wielkich czynów, ale, niestety, pod tym względem raczej się królowi nie wiodło. W rezultacie był poślednim władcą; wątpił, czy po śmierci będzie długo pamiętany. A śmierć mogła nastąpić w każdej chwili, bo postarzał się i szwankowało mu serce. Został Rolandowi może rok, a może trzy lata życia. Każdy, kto go znał, i każdy, kto przyjrzał się jego poszarzałej twarzy i drżącym rękom, zgadzał się, że najdalej za pięć lat nowy król zostanie ukoronowany na wielkim placu u stóp Iglicy... i że będzie to łaska boska, jeśli nie stanie się to wcześniej. Tak więc wszyscy w królestwie, od najbogatszego barona i

najbardziej wystrojonego dworaka po najuboższego chłopca poddanego i jego obdartą żonę, myśleli i mówili o następcy tronu, starszym synu Rolanda, Peterze.

Jeden człowiek zaś myślał, planował i głowił się nad innym problemem: jak sprawić, żeby młodszy syn Rolanda, Thomas, został władcą zamiast Petera. Człowiekiem tym był królewski czarnoksiężnik Flagg.

2

Chociaż Roland był stary — przyznawał się do siedemdziesiątki, ale z pewnością przekroczył już ten wiek — jego synowie mieli niewiele lat. Król ożenił się późno, gdyż nie spotkał kobiety, która by mu się spodobała, a jego matka, wielka królowa wdowa z Delainu, wydawała się Rolandowi i wszystkim innym, nie wyłączając jej samej, osobą nieśmiertelną. Rządziła królestwem już pięćdziesiąt lat, gdy pewnego dnia podczas podwieczorku włożyła do ust świeżo ukrojony kawałek cytryny, aby złagodzić kłopotliwy kaszel, który dokuczał jej w ciągu ostatniego tygodnia, a może trochę dłużej. Ów podwieczorek uświetniał, ku rozrywce królowej wdowy i jej dworu, pewien żongler. Zręcznie manipulował pięcioma sprytnie wykonanymi kryształowymi kulami. Dokładnie w chwili gdy królowa wkładała sobie do ust plasterki cytryny, żongler upuścił jedną ze swych szklanych piłeczek. Roztrzaskała się na kamiennej posadzce wielkiej Sali Wschodniej z głośnym hukiem. Zaskoczona tym królowa wdowa wciągnęła powietrze, a jednocześnie do

tchawicy wpadł jej kawałek cytryny, którym się udławiła. Cztery dni po jej śmierci odbyła się koronacja Rolanda na placu Iglicy. Żongler jej nie oglądał, gdyż trzy dni wcześniej został ścięty na katowskim pniu, umieszczonym na tyłach Iglicy.

Król bez następców wywołuje u wszystkich niepokój, zwłaszcza gdy liczy sobie pięćdziesiąt lat i dobrze już wyłysiał. Tak więc w żywotnym interesie Rolanda leżało jak najprędzej się ożenić i mieć wkrótce potomka. Jego najbliższy doradca, Flagg, jasno mu to wykazał. Ponadto uzmysłowił władcy, że osiągnąwszy lat pięćdziesiąt, ma niewiele czasu na spłodzenie następcy. Flagg poradził królowi, żeby szybko brał sobie żonę, nie czekając na damę ze szlacheckiego rodu, która mu się spodoba. Jeśli dama taka mu się nie trafiła, zanim dobiegł pięćdziesiątki, powiedział Flagg, to prawdopodobnie nie pojawi się już nigdy.

Roland docenił mądrość tej rady i zgodził się z nią, nie mając ani przez moment pojęcia, że Flagg, osobnik o rzadkich włosach i bladej twarzy, prawie zawsze ukrytej pod kapturem, wiedział o jego najtajniejszym sekrecie: król nigdy nie spotkał pani swoich snów, albowiem nigdy naprawdę o niej nie marzył. Kobiety napawały go niepokojem. I nigdy nie podobała mu się czynność, dzięki której w brzuchach kobiet pojawiają się dzieci. Czynność ta również budziła w nim uczucie niepewności.

Dostrzegł jednakże mądrość zawartą w radach czarnoksiężnika i sześć miesięcy po pogrzebie królowej wdowy w Delainie odnotowano znacznie szczęśliwsze wydarzenie — zaślubiny króla Rolanda z Sashą, kobietą,

która miała zostać matką Petera i Thomasa.

Rolanda nie darzono ani miłością, ani nienawiścią, Saszę natomiast kochali wszyscy. Gdy umarła przy urodzeniu drugiego syna, królestwo ogarnęła najczarniejsza żałoba, która trwała przez rok i dzień. Sasha była jedną z sześciu kandydatek na żonę, które Flagg podsunął królowi. Roland nie znał żadnej z nich, a wszystkie należały do tej samej klasy i grupy majątkowej. W żyłach ich wszystkich płynęła też szlachecka krew, lecz żadna z dam nie wywodziła się z królewskiego rodu; każda była łagodna, przyjemna i cicha. Flagg nie sugerował nikogo, kto mógłby zająć jego miejsce w pobliżu królewskiego ucha. Roland wybrał Saszę, gdyż zrobiła wrażenie najcichszej i najłagodniejszej z całej szóstki i budziła w nim najmniejszy lęk. Pobrali się więc. Sasha pochodziła z Zachodniej Baronii (bardzo niewielkiej) i miała lat siedemnaście, o trzydzieści trzy mniej niż jej mąż. Przed nocą poślubną nigdy nie widziała mężczyzny bez spodni. Gdy przy owej okazji ujrzała sflaczały członek swego małżonka, spytała z wielkim zainteresowaniem: „Co to jest, mężu?”. Gdyby powiedziała cokolwiek innego albo zadała pytanie nieco innym tonem, wydarzenia tamtej nocy, a zarazem cała ta historia mogłyby przybrać zupełnie inny bieg; pomimo specjalnego napoju, który Flagg dał królowi godzinę wcześniej, pod sam koniec ucztę weselnej, Roland mógłby po prostu dyskretnie zwiać. Ale ujrzał swą żonę dokładnie taką, jaka była — bardzo młodą dziewczynę, która wiedziała jeszcze mniej na temat robienia dzieci niż on sam, i zauważył też, że usta jej wyrażają życzliwość, więc pokochał ją, jak wszyscy inni w Delainie mieli ją pokochać.

— To Żelazo Króla — powiedział.
— Nie jest podobne do żelaza — orzekła z powątpiewaniem Sasha.
— Jeszcze nie jest wykute — odparł.
— Aha, a gdzie kuźnia?
— Jeśli mi zaufasz — powiedział, kładąc się do łóżka obok niej — pokażę ci, bo sprowadziłaś ją z sobą z Zachodniej Baronii, chociaż nic o tym jeszcze nie wiesz.

3

Lud Delainu pokochał królową Saszę, bo była dobra i życzliwa. To ona założyła Wielki Szpital, to ona tak długo płakała nad okrucieństwem szczucia niedźwiedzi, aż król wreszcie go zakazał, ona też wyblągała umorzenie podatków królewskich w roku wielkiej suszy, gdy nawet liście Wielkiego Starego Drzewa poszarzały. Czy Flagg knuł przeciwko niej, zapytacie? Z początku nie. Sprawy te z jego punktu widzenia nie znaczyły prawie nic, albowiem był on prawdziwym czarnoksiężnikiem i żył już od setek lat.

Pozwolił więc nawet na umorzenie podatków, gdyż rok wcześniej flota Delainu zmiotła z powierzchni ziemi piratów anduańskich, którzy dręczyli południowe wybrzeża królestwa od ponad stu lat. Czaszka króla Andui szczyrzyła zęby z pala umieszczonego za murami pałacu, a skarbiec Delainu wzbogacił się o liczne łupy. Przy ważniejszych problemach, sprawach wagi państwowej, nadal to usta Flagga znajdowały się najbliżej ucha króla Rolanda, więc z początku Flagg był

zadowolony.

4

Chociaż Roland pokochał swoją żonę, nigdy nie udało mu się polubić tej czynności, którą większość mężczyzn uważa za tak przyjemną, czynności, dzięki której na świecie pojawia się zarówno najnędzniejszy kuchcik, jak i następca najwyższego tronu. Roland udawał się na spoczynek do innej sypialni niż Sasha i rzadko odwiedzał żonę. Wizyty jego zdarzały się nie więcej niż pięć, sześć razy w roku, a czasami w kuźni w ogóle nie udawało się wykuć żelaza mimo stosowania coraz mocniejszych napojów Flagga i mimo niezłomnej słodyczy Sashy.

Jednak cztery lata po ślubie w jej łożu zrobiono Petera. Tej właśnie nocy Roland nie potrzebował napoju Flagga, zielonego i pianistego trunku, który zawsze przyprawiał króla o lekki zawrót głowy, jakby postradał zmysły. Owego dnia monarcha polował w rezerwacie razem z dwunastoma swoimi ludźmi.

Polowanie było tym, co Roland lubił najbardziej — zapach lasu, rześki posmak powietrza, dźwięk rogu, dotyk łuku, gdy opuszcza go strzała zmierzająca właściwym torem. W Delainie znano proch, ale stanowił on rzadkość, a polowanie z metalową rurą uważano zawsze za niskie i niegodne.

Sasha czytała w łożku, gdy król przyszedł do niej z wyrazem radości na swej czerstwej, brodatej twarzy. Zaraz odłożyła książkę na pierś i słuchała z uwagą, jak opowiadał,

gestykulując. Pod koniec cofnął się, żeby pokazać, jak napiął łuk i wystrzelił Młot na Wrogów — wielką strzałę swego ojca — w poprzek niewielkiej dolinki. Wtedy ona zaśmiała się, klasnęła w dłonie i tym zdobyła sobie jego serce.

Rezerwat Królewski był już prawie całkiem przetrzebiony. W tamtych cywilizowanych latach rzadko znajdowano w nim większe sztuki zwierzyny płowej, a od niepamiętnych czasów wcale nie spotykano smoków. Większość ludzi śmiałaby się, gdyby im powiedziano, że na to mityczne stworzenie można by się natknąć w owym nudnym lesie. Ale tamtego dnia, na godzinę przed zachodem słońca, gdy Roland i jego drużyna już mieli wracać do domu, właśnie wtedy znaleźli... a raczej zostali znalezieni.

Smok niezdarnie wyłonił się z krzaków, z trzaskiem łamiąc gałęzie. Miał lśniące zielonkawomiedziane łuski i ział ogniem z osmalonych nozdrzy. Nie był to bynajmniej mały smok, lecz samiec przed pierwszym wytopem. Większa część drużyny króla zamarła, nie mogąc napiąć cięciwy ani się nawet poruszyć.

Stwór przyglądał się myśliwym — jego zazwyczaj zielone oczy zrobiły się żółte. Zatrzepotał skrzydłami. Nie odleciał jednak — w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat i przez dwa wytopy jego skrzydła nie zdołają unieść ciężaru ciała w powietrze — lecz niemowlęca błonka, która utrzymuje je przy ciele smoka, dopóki nie ukończy on dziesięciu albo dwunastu lat, opadła już i jeden ich ruch wytworzył podmuch, na skutek którego główny łowczy spadł z konia, przewracając się na plecy i gubiąc róg.

Roland jedyny nie poddał się bezwładowi i choć był zbyt

skromny, żeby powiedzieć to żonie, jego następne działania cechowało prawdziwe bohaterstwo, jak również zapał myśliwski. Smok mógłby spokojnie upiec żywcem większość zaskoczonych drużyny, gdyby nie szybka akcja monarchy. Skłonił on swego konia do zrobienia kilku kroków naprzód i nasadził na cięciwę wielką strzałę. Napiął łuk i strzelił. Grot trafił prosto w cel — jedyne miękkie, skrzelowate miejsce poniżej gardła, przez które smok wciąga powietrze do wytwarzania ognia. Paskuda padła martwa, podpalając ostatnim oddechem krzaki dookoła siebie. Paziowie szybko ugasił ogień, niektórzy wodą, inni piwem, a niejeden moczem — lecz gdy się nad tym zastanowić, większość moczu też była piwem, bo Roland, udając się na polowanie, zabierał z sobą mnóstwo tego trunku i nikomu go nie skąpił.

Ogień został ugaszony w pięć minut, a smoka wypatroszono w piętnaście. Można było jeszcze zagotować wodę nad jego dymiącymi nozdrzami, gdy złożono na ziemi wnętrzości. Ociekające krwią serce o dziewięciu komorach zaniesiono z wielką ceremonią Rolandowi. Zjadł je na surowo, jak nakazywał zwyczaj, i bardzo mu smakowało. Żałował tylko, że chyba już nigdy więcej nic podobnego się nie przydarzy.

Może właśnie to serce uczyniło go tak silnym tej nocy. Może wystarczyły radość polowania i świadomość, że zadziałał szybko i z zimną krwią, gdy inni siedzieli jak oglupiali w siodłach (oczywiście poza głównym łowczym, który oglupiały leżał na wznak). Jakikolwiek był tego powód, gdy Sasha klasnęła w ręce i zawołała: „Cudownie, mój dzielny mężu!”, niemal wskoczył do łóżka. Małżonka powitała go z otwartymi ramionami i uśmiechem, który odzwierciedlał

jego triumf. Tej nocy po raz pierwszy i ostatni Roland cieszył się uściskami swej żony na trzeźwo. Dziewięć miesięcy później — jeden miesiąc na każdą komorę smoczego serca — w tym samym łożu urodził się Peter, a w całym królestwie zapanowała radość; poddani mieli wreszcie następcę tronu.

5

Myślicie pewnie — jeżeli chciało się wam nad tym zastanowić — że po narodzinach Petera Roland przestał używać dziwnego zielonego napoju Flagga. Nic podobnego. Nadal popijał go od czasu do czasu. Czynił tak, gdyż kochał Saszę i chciał jej sprawić przyjemność. Gdzieniegdzie uważa się, że seks daje zadowolenie tylko mężczyznom, a kobiety rade są, gdy się je zostawia w spokoju. Ale lud Delainu nie hołdował takim dziwacznym poglądom — zakładano, że kobiecie również sprawia satysfakcję uczestnictwo w akcie, dzięki któremu na ziemi pojawiają się najmilsze stworzenia. Roland zdawał sobie sprawę, że nie poświęca żonie należytej uwagi w tej dziedzinie, ale postanowił dołożyć wszelkich starań, nawet jeśli oznaczało to zażywanie napoju Flagga. Jeden tylko Flagg wiedział, jak rzadko król udawał się do łożnicy swej małżonki.

Jakieś cztery lata po urodzeniu Petera, w noc Nowego Roku, nawiedziła Delain ogromna zamieć. Była to największa burza śnieżna, jaka kiedykolwiek przeszła nad krajem za ludzkiej pamięci, poza jeszcze jedną — ale o tym później.

Kierując się impulsem niezrozumiałym nawet dla samego

siebie, Flagg przygotował królowi napój o podwójnej mocy — może to wiatr tak na niego podziałał. Normalnie Roland skrzywiłby się z niesmakiem i prawdopodobnie odstawiłby miksturę, ale zamieć wywołała podniecenie, dzięki któremu bal noworoczny był szczególnie wesoły, a Roland się upił. Ogień płonący w kominku przypominał mu ostatni, gorący oddech smoka, więc król wiele razy przepijał do swego portretu, umieszczonego na ścianie. Gdy w końcu jednym haustem pochłonął zielony napój, opadło go złe pożądanie. Opuścił natychmiast salę jadalną i odwiedził Sashę. Usiłując się z nią kochać, sprawił jej ból.

— Mężu, proszę! — wykrzyknęła wśród łkań.

— Przepraszam — wymamrotał. — Chrrr... — Leżąc obok niej, zapadł w ciężki sen i pozostawał bez świadomości przez następnych dwadzieścia godzin. Sasha nigdy nie zapomniała dziwnego zapachu, wydobywającego się z ust męża tamtej nocy. Przypominał woń gnijącego mięsa, odór śmierci. Co też takiego, zastanawiała się, on zjadł... albo wypił?

Roland nigdy więcej nie dotknął napoju Flagga, ale czarnoksiężnik i tak był zadowolony. Dziewięć miesięcy później Sasha urodziła Thomasa, swojego drugiego syna. Zmarła przy porodzie. Takie rzeczy się zdarzały i chociaż zasmuciło to wszystkich, nikt się nie dziwił. Wydawało im się, że wiedzą, co się stało. Ale jedynymi ludźmi, którzy znali prawdziwe okoliczności, byli Anna Crookbrows, położna, i Flagg, królewski czarnoksiężnik. Cierpliwość bowiem Flagga do Sashy i jej wtrącania się w nie swoje sprawy w końcu się wyczerpała.

6

Peter miał zaledwie pięć lat, gdy zmarła jego matka, ale zachował ją w serdecznej pamięci. Uważał, że była miła, kochająca i dobra. Ale pięć lat to młody wiek, więc pamiętał ją mgliście. Zostało mu tylko jedno wyraźne wspomnienie — jak został przez nią skarcony. Znacznie później wspomnienie owej krytycznej uwagi okazało się dla niego niezmiernie ważne. A związane było z serwetką.

Na początku każdego piątego miesiąca roku na dworze odbywała się uczta ku czci wiosennych nasadzeń. Gdy Peter miał pięć lat, po raz pierwszy pozwolono mu wziąć w niej udział. Obyczaj nakazywał, żeby Roland siedział u szczytu stołu, następca tronu po jego prawej ręce, a królowa na drugim końcu. W rezultacie Peter miał podczas posiłku znaleźć się poza jej zasięgiem, więc Sasha starannie pouczyła syna zawczasu, jak ma się zachowywać. Chciała, żeby dobrze wypadł i wykazał się przyzwoitymi manierami. No i oczywiście wiedziała, że podczas uczty będzie zdany na własne siły, jako że jego ojciec nie miał pojęcia o właściwym zachowaniu.

Niektórzy z was zapytają, dlaczego zadanie uczenia Petera dobrych manier spadło na Sashę. Czyżby chłopak nie miał guwernantki? (Miał, i to dwie). Czy nie było służących, którzy obsłużyliby książątka? (Całe zastępy). Sztuka polegała nie na tym, żeby zmusić ich do zajęcia się Peterem, ale żeby trzymać ich od niego z daleka. Sasha chciała sama go wychowywać, a w każdym razie o tyle, o ile się dało. Kochała syna gorąco i pragnęła mieć go przy sobie ze swoich

własnych, egoistycznych powodów. Ale również zdawała sobie sprawę, że jego wychowanie to poważna odpowiedzialność. Chłopczyk miał pewnego dnia zostać królem, a Sasha nade wszystko chciała, żeby był dobry. Dobry chłopiec, jak sądziła, stanie się dobrym królem.

Wielkich uczt w Sali Głównej nie cechował szczególny ład i większość nianiek nie martwiłaby się o to, jak chłopczyk zachowa się przy stole. „Przecież kiedyś zostanie królem!” — powiedziałyby nieco zaskoczone pomysłem, że należy korygować jego poczynania w tak trywialnych sprawach. Czy to ważne, że rozleje sos? Albo że nakapie sobie na kryzę, czy też nawet wytrze o nią ręce? Czyż dawnymi czasy nie zdarzało się, iż król Alain wymiotował na talerz, a potem rozkazywał swemu trefnisiowi podejść bliżej i zjeść „tę pyszną gorącą zupkę”? Czyż król John nie miał zwyczaju odgryzać łebków żywym pstrągom i wrzucać ich trzepoczących się ciał za staniki usługującym przy stole dziewczkom? Czyż ta ucztą nie zakończy się jak zwykle tym, że jej uczestnicy zaczną się obrzucać jedzeniem?

Niewątpliwie tak mogło się stać, ale gdy obyczaje zniżyły się do poziomu ciskania potrawami, Peter dawno już leżał w łóżku. Sashy nie podobało się przede wszystkim podejście wyrażone w słowach „czy to ważne”. Uważała, że to najgorsze przekonanie, jakie może utkwąć w głowie dziecka, którego przeznaczeniem jest zostać królem.

Tak więc Sasha udzieliła chłopcu dokładnych wskazówek, a potem obserwowała z uwagą jego zachowanie i maniery — i to było w porządku, ponieważ zachowywał się w większości wzorowo. Ale wiedziała, że nikt poza nią nie

powie mu, jakie popełnił błędy, i że ona sama musi uczynić to teraz, w krótkim okresie, gdy chłopak ją uwielbia. Tak więc kiedy skończyła go chwalić, powiedziała:

— Jedną rzecz zrobiłeś źle, Pete, i nie chcę, żeby się to kiedykolwiek powtórzyło.

Peter leżał w łóżeczku, a jego ciemnoniebieskie oczy spojrzały na nią z powagą.

— Co takiego, mamó?

— Nie użyłeś serwetki — powiedziała. — Zostawiłeś ją złożoną obok talerza, a ja patrzyłam na to z przykrością. Jadłeś kurczaka palcami i to jest w porządku, bo tak właśnie należy go jeść. Ale kiedy odłożyłeś kostki na talerz, wytarłeś palce w koszulę, a tak robić nie wypada.

— Ale ojciec... i pan Flagg... i inni panowie...

— Do licha z Flaggiem i do licha ze wszystkimi panami w Delainie! — wykrzyknęła Sasha z taką mocą, że Peter aż się skulił w łóżku. Bał się i wstydził, że przez niego na jej policzkach zakwitł rumieniec. — To, co robi twój ojciec, król, jest w porządku, bo wszystko, co robi król, jest zawsze właściwe. Ale Flagg nie jest królem, bez względu na to, jak bardzo by chciał, i panowie nie są królami, i ty też nie jesteś królem, tylko małym chłopcem, który nie zawsze potrafi się właściwie zachować.

Zobaczyła, że syn się przestraszył, i uśmiechnęła się uspokajająco. Położyła mu dłoń na czole.

— Nie bój się, Pete. — Poglaskała go. — To drobiazg, ale ważny, bo gdy nadejdzie czas, zostaniesz królem. A teraz przynieś swoją tabliczkę.

— Ale pora spać...

— Do licha ze spaniem. Może poczekać. Biegnij po tabliczkę.

Peter usłuchał.

Sasha wzięła kredę umocowaną z boku i starannie wyrysowała trzy litery.

— Potrafisz przeczytać to słowo, Peter?

Chłopiec skinął głową. Umiał przeczytać tylko kilka słów, chociaż znał już większość dużych liter. A to było właśnie jedno z tych słów.

— Tu jest napisane BÓG.

— Tak. A teraz napisz to wspak i zobacz, co uzyskasz.

— Wspak? — zapytał z powątpiewaniem Peter.

— Właśnie.

Peter napisał, jak mu kazano, a litery, jakie stawiał, wyglądały dziecinnie i koślawo w porównaniu ze starannym pismem matki. Ze zdziwieniem zobaczył, że napisał inne słowo z liter, które znał.

— Pies!*. Mamo! To pies!

— Tak jest. Pies. — Smutek w jej głosie natychmiast zgasił podniecenie Petera. Matka wskazała najpierw na słowo BÓG, a potem na PIES. — To są dwie natury człowieka — powiedziała. — Nigdy o nich nie zapominaj, bo pewnego dnia zostaniesz królem, a królowie rosną wysocy, tak wysocy jak smoki po dziewiątym wytopie, i stają się wielcy.

— Ojciec nie jest ani wielki, ani wysoki — zaprotestował Peter. Roland w rzeczywistości był raczej niski i miał krzywe nogi, a ponadto potężny brzuch, który urósł mu od ciągłego

* Po angielsku „Bóg” to *God*, a „pies” — *dog*.

popijania piwa i miodu.

Sasha się uśmiechnęła.

— A jednak jest. Królowie rosną niewidocznie, Pete, i dzieje się to w jednej chwili, gdy stojąc na placu Iglicy, ujmują berło, a głowę ich wieńczy korona!

— Naprawdę? — Oczy Petera stały się wielkie i okrągłe. Chłopiec pomyślał, że rozmowa odbiegła daleko od jego zaniedbania w sprawie użycia serwetki podczas bankietu, ale wcale nie żałował, że kłopotliwy temat został zastąpiony tak ciekawym. Ponadto postanowił już sobie, że nigdy więcej nie zapomni o serwetce. Skoro jest to tak ważne dla matki, stanie się tak samo ważne i dla niego.

— O tak. Królowie rosną ogromnie i dlatego muszą być bardzo ostrożni, bo tak wielka osoba może zgnieść mniejsze, po prostu idąc na spacer, odwracając się lub nagle siadając w niewłaściwym miejscu. Źli królowie często w ten sposób postępują. Myślę też, że nawet dobrzy królowie nie zawsze mogą uniknąć czegoś takiego.

— Chyba nie rozumiem...

— To słuchaj dalej. — Znów postukała w tabliczkę. — Nasi kapłani mówią, że natura ludzka częściowo wywodzi się od Boga, a częściowo od Koźlonogiego. Wiesz, kto to jest Koźlonogi, Peter?

— Diabeł.

— Tak. Ale poza opowieściami mało jest na świecie diabłów, Pete, najczęściej źli ludzie przypominają raczej psy niż diabły. Psy to stworzenia przyjazne, ale głupie, podobnie jak mężczyźni i kobiety, kiedy się upijają. Gdy są podniecone i czegoś nie rozumieją, mogą ugryźć. Gdy ludzie bywają

podekscytowani i nie pojmują, o co chodzi, zaczynają się bić. Psy to świetne zwierzęta domowe, bo są wierne, ale jeśli istota ludzka nie jest niczym więcej niż zwierzak, to, moim zdaniem, kiepski z niej człowiek. Psy bywają odważne, ale bywają też tchórzami wyjąłymi w mroku i umykającymi z podwiniętym ogonem. Pies gotów jest lizać rękę zarówno złego, jak i dobrego pana, gdyż nie zna różnicy między dobrem a złem. Pies zje pomyje, zwymiotuje to, czego jego żołądek nie zniesie, i przyjdzie po więcej.

Zamilkła na chwilę, być może zastanawiając się, co też właśnie dzieje się na sali bankietowej — kobiety i mężczyźni pewnie ryczą pijackim śmiechem, rzucają w siebie jedzeniem, a od czasu do czasu odwracają się niedbale, żeby zwymiotować koło swoich krzeseł. Roland zachowywał się podobnie, co czasami ją zasmucało, ale nie krytykowała go za to ani nie czyniła mu wyrzutów. Taki był. Mógłby obiecać, że się zmieni, żeby jej sprawić przyjemność, a nawet mógłby wprowadzić obietnicę w czyn, ale wtedy przestałby być sobą.

— Rozumiesz to, Peter?

Chłopiec kiwnął głową.

— Świetnie. To teraz powiedz mi — pochyliła się do niego — czy pies używa serwetki?

Upokorzony i zawstydzony Peter spojrzał na kołdrę i pokręcił głową. Najwyraźniej rozmowa nie odbiegła wcale od tematu, choć tak mu się wydawało. Może dlatego, że wieczór obfitował we wrażenia, a może dlatego, że chłopiec był już bardzo zmęczony, w jego oczach pojawiły się łzy i spływały mu po policzkach. Walczył z nadchodzącym łkaniem. Zdusił je w gardle. Sasha zauważyła to i przepełnił ją podziw.

— Nie płacz nad nieużywaną serwetką, kochanie — powiedziała — bo nie to było moim celem. — Wstała, unosząc swój wielki już brzuch. Zbliżał się dzień narodzin Thomasa. — Poza tym postępowałaś bez zarzutu. Każda matka w królestwie byłaby dumna z syna, który zachowałby się w połowie tak dobrze jak ty, i moje serce przepelnia prawdziwy podziw. Powiedziałam ci o serwetce tylko dlatego, że jestem matką księcia. To czasem bywa trudne, lecz, niestety, nie da się tu nic zmienić, a prawdę mówiąc, nie zrobiłabym tego, gdybym nawet mogła. Ale pamiętaj, że pewnego dnia czyjeś życie może zależeć od tego, co uczynisz, a nawet od tego, co ci się przyśni. Najpewniej nie od tego, czy użyjesz serwetki, wycierając palce po pieczonym kurczęciu, ale nigdy nic nie wiadomo. Kto wie? Zdarzało się już, że życie ludzkie zależało od drobniejszych spraw. Proszę cię tylko, żebyś zawsze pamiętał o cywilizowanej stronie swojej natury. Dobrej stronie, stronie Boga. Czy możesz mi to obiecać?

— Obiecuję.

— No więc wszystko w porządku. — Pocałowała go leciutko. — Na szczęście i ty, i ja jesteśmy młodzi. Porozmawiamy sobie o tym więcej, gdy będziesz mógł mnie lepiej zrozumieć.

Nigdy sobie nie porozmawiali, ale Peter nie zapomniał lekcji: zawsze używał serwetki, nawet gdy nikt inny tego nie robił.